

**ANNA
AUGUSTYNIAK
ZIELENIAK**

MARGINESY

COPYRIGHT © BY Anna Augustyniak
COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2026

Zieleniak to potoczna nazwa targowiska warzywnego utworzonego w okresie międzywojennym na Ochocie przy ulicy Grójeckiej 95. Niemieccy żołnierze podczas powstania warszawskiego zorganizowali na jego terenie obóz przejściowy dla mieszkańców tej dzielnicy. Po osiemdziesięciu latach na zachowanym fragmencie muru pod Halą Banacha umieszczono małą tablicę:

Pamięci kobiet i dziewczynek,
które w dniach 4-20 sierpnia 1944 roku
padły ofiarą gwałtów i przemocy ze strony
Rosyjskiej Wyzwoleńczej Armii Narodowej (RONA)
działającej w strukturach niemieckiej Waffen SS
na terenie targowiska „Zieleniak”
Warszawianki i Warszawiacy

Mówią, że trzeba uwolnić historię od wstydu. Mówią, że nadszedł czas, by przerwać milczenie. Mówią: opowiedz o Zieleniaku.

Nie wiedziałam o Zieleniaku. Nie wiedziałam o tym, co się tam wydarzyło, o miejscu kaźni kobiet i dziewczynek. Mieszkłam w Warszawie na Ochocie przy ulicy 1 Sierpnia – i naprawdę nic o nim nie wiedziałam.

Znałam tylko ten nowy Zieleniak, z błyszczącym neonem. Najczęściej kupowałam tam warzywa i owoce, choć zdarzało się, że i ubrania. Któregoś roku przybyło straganów z kolorowymi ciuchami z zagranicy i wtedy kupiłam jasnozieloną spódnicę zapinaną na dwa guziki. Sięgała prawie do kostek i kiedy szłam szybkim krokiem, poły cienkiego materiału rozchyłały się na boki, tył unosił się w powietrzu – wyglądało, jakbym była półnaga. Nazywałam ją sierpniówką i nie rozstałam się z nią mimo wielu przeprowadzek. Zresztą wciąż ją noszę, gdy jest upał, a sierpień w Warszawie zwykle bywają gorące.

Wtedy, gdy wybuchło powstanie, z nieba lał się żar.

PIWNICA

– Prześcieradła! Dajcie prześcieradła! – rozlega się nawoływanie.

– Prześcieradła? Jakie prześcieradła? Kto pójdzie na górę grzebać w szafie! A jak nadlecą sztukasy i rzucać bomby akurat w nasz dach? – Alicja niby szepcze, a jednak tak, by każdy usłyszał: ona, służąca Czosnowskich, nigdzie się nie ruszy. Nie wyjdzie stąd i już.

– Przecież to trupy i wszystko im jedno, nawet gdyby miały gnić na oczach ludzi – mamrocze Halina Grzegorzewska.

Wszystkim teraz wszystko jedno, tylko tamtym wrzeszczącym na podwórku nagle nie wiedzieć czemu tak zależy.

Po piwnicy rozchodzi się pomruk. Zgromadzeni rozważają, czy warto ryzykować życie dla umarłych. Należy się im odrobina godności i nie przystoi grzebać jak psów...

To „należy się” zawisa w powietrzu. Nie ma jednak odważnych. Nikt się nie rusza. Cisza.

– Ja to bym nie chciała gnić na oczach ludzi. Byle nie na oczach ludzi – odzywa się nagle Krasowska. – Całe życie człowiek wstydy się tego swojego ciała, ubiera, zakrywa, owija, i teraz wystawiać się? – Staruszka chwytą drewnianą laskę i próbuje się podnieść z niskiego stołeczka. Chwieje się, czyjeś ręce ją przytrzymują. – Pójdę, w końcu nie mam daleko, tyle, żeby te jedno i drugie schody przejść.

Odprawdzają ją spojrzenia pełne uznania. A może raczej ulgi.

– Niech Krasowska zaraz wraca – rzuca ktoś życzliwie, nieco spłoszonym głosem.

– Byle zakopali, byle do ziemi – odpowiada starsza pani, a echo po niej powtarza: „Byle do ziemi”.

– U nas każdy ma po jednym prześcieradle, dosłownie jedno prześcieradło na łóżko wypada, wszystko się poprzecierało, wyprzedało, a teraz rozdawać jeszcze przyszło... – ciągnie niepewnie Barbara Kowalska, brunetka spod szóstki.

– Kiedyś to się kupowało trumny dębowe, mocne, w orzechowych odcieniach – przerywa jej pan Konstanty Starszy, jak go tu wszyscy nazywają. – Dębowa sukienka się mówiło, nie uchodziło inaczej na tamten świat nikogo wyprawiać, a dziś co? Prześcieradło.

– Prześcieradła! Dajcie prześcieradła! – znów rozlega się nawoływanie i naraz ktoś wpada do piwnicy. Młody chłopak z białą-czerwoną opaską na ramieniu mruży oczy i rozgląda się na wszystkie strony. – Ludzie, co wy

tak siedzicie? Nie słyszycie? Groby kopjemy na podwórku, zabitych trzeba pochować, póki Niemcy nie strzelają. Ściągnęliśmy ich z ulicy.

– A nam co do tego – zaperza się Alicja. – O trupy się martwić, jeszcze czego! Człowiek liczy każdą godzinę, modli się o następną, a jacyś tacy... nie wiadomo, kto to... włączą się...

– Co pani wygaduje, to nasi, walczyli.

– Śmierć nam wszystkim zagląda w oczy – wtrąca hardo Rachubinowicz. – Ile tych prześcieradeł? Chodź pan, poszukamy u mnie, na czwartym piętrze.

Piwniczne okienka wychodziły prosto na skwer, gdzie grzebano poległych. Nic jednak nie dało się zobaczyć – zasłaniał je mur worków z piaskiem. Oficjalnie dla bezpieczeństwa, w rzeczywistości tylko rozbudzały ciekawość i prowokowały szept o tym, co dzieje się na zewnątrz. Prawdziwe wieści dotarły dopiero pod wieczór, wraz z powrotem Rachubinowicza. Wtedy zaczęło się gorączkowe wypytywanie.

– Eee, to nie był wcale żaden prawdziwy pogrzeb – sapał raczej, niż mówił. Zwlekał z zejściem do piwnicy do czasu, aż Niemcy przystąpili do ostrzeliwania budynku, dopiero wtedy rzucił się do ucieczki. Tyle piętér w tym wieku zrobiło swoje, dostał zadyszki i z trudem łapał oddech.

– Jak nie pogrzeb? To zakopywali te trupy czy nie zakopywali? – zaczął dociekać pan Konstanty Starszy.

– Zakopywali, i tyle tego było. Nie o to nawet idzie, że księżda teraz do pochówku tak na zawołanie nie uświadczysz, tylko co to za mogiły? – Rachubinowicz był przedwojennym sędzią i na każdą sytuację patrzył z różnych stron. – Chłopcy mieli tylko dwie łopaty, zresztą spieszyli się... Rozgrzebali trawę, trochę ziemi przerzucili i tak nieboszczyczka za nieboszczykiem upychali, tyle co powłóczkami pozawijali im głowy... – Zakaszał, próbując złapać oddech, i dodał: – Jakby do snu wiecznego ktoś tego akurat potrzebował.

– Jakimi powłóczkami? – zdziwiła się Alicja.

– Ten powstaniec tak mnie popędzał, że zamiast prześcierać dałem mu kilka powłóczek na poduszki, leżały na samym wierzchu, nie szukałem dalej, bo krzyczał: „Szybciej, szybciej, póki nie strzelają, jak zaczną strzelać, to po nas!”. Ręce mi się zaczęły trząść, głowę straciłem, co na której półce, zresztą on złapał poszewki i już go nie było. Zadudniły tylko kroki, jak zbiegał ze schodów.

– A co sąsiad tyle godzin robił na górze? Strach przecież teraz być w mieszkaniu. We własnym mieszkaniu strach być – zastanawiał się Mieczysław Grzegorzewski, sąsiad Rachubinowicza z tego samego piętra.

Od ilu to już lat? Po ślubie z żoną wprowadzili się na Mazowiecką, teść podarował im dwa małe pokoiki. Och, co to za szczęście: mieszkać w samym sercu Warszawy, a własne serce mieć wypełnione miłością do tego cudnego miasta i do Halinki. No i Ziemiańska tuż obok. Tam to się

działo. Gwar, rozmowy do późna; człowiek siedział przy stoliku i czuł, że to jego miejsce.

Grzegorzewski rozejrzał się, jakby wyrwany z pięknego snu, i z wysiłkiem uśmiechnął do Halinki. Niby tu, w kamienicy na Filtrowej, wygodniej im się żyło w czterech wielkich pokojach, ale to już nie to samo było. Na Ochocie szara rzeczywistość ich dopadła, tyle że teraz mają gdzie się ukrywać, nie to co w Śródmieściu.

– Nasza piwnica jest duża – zwrócił się do Alicji. – Zeszli się państwo do nas i mieścimy się, można powiedzieć, że gościmy...

Alicja Piotrowska od początku wiedziała, że Grzegorzewski łypie na nią ukradkiem. Teraz podniósł głos, by nikt nie miał wątpliwości:

– No i co byście na tej swojej Opaczewskiej zrobili, gdzie się ukryli? Już mogło być po was i waszej słodkiej... – na moment zawiesił głos – ...córeczce.

Państwo Czosnowscy, u których Alicja dziesiąty rok kucharyła i sprzątała, równocześnie, jak na rozkaz, odwrócili się w stronę łóżka polowego, na którym siedział Grzegorzewski. Służąca miałaby być ich córką? Żadne z nich się jednak nie odezwało – wpatrywali się w dziewczynę, jakby tylko ona miała władzę nad ludzkim głosem i mogła wyjaśnić zaistniałą pomyłkę.

– Nie my jedni tu jesteśmy... – wykrztusiła ponaglana spojrzeniami Czosnowskich. – Z innych kamienic też są

uciekinierzy. – Zabrakło jej odwagi, żeby ciągnąć wątek i wymieniać tych, co przyszli tutaj po nich.

Grzegorzewski przyglądał się jej z uwagą w oczekiwaniu, co powie dalej. Chciał nawiązać rozmowę, dowiedzieć się więcej. Rano, gdy pojawiła się sprawa prześcieradeł, szepnął, że gdyby poszła z nim na górę, nie zawahałby się ani chwili. Alicja udawała, że tego nie słyszy, nawet odwróciła głowę. „Szkopy strzelają i mordują, a ten żonę w piwnicy zostawić chce, by uszczknąć nowej baby”, pomyślała. Była ładna, w rozkwicie urody i swoje trzydzieści lat nosiła jak wiano nietknięte. Dawno temu zatrudniła się u Czosnowskich na rok, może dwa, żeby zarobić na posag, ale że żaden kawaler jej nie pasował, więc nie odchodziła – i tak dotrwała u nich do wojny.

Co ma teraz z tego? Tyle lat pracy, by zbudować przyszłość. Niemiecką okupację wytrzymywała, dzień po dniu obiecując sobie, że jak tylko to wszystko się skończy, od razu wyprowadzi się na swoje... A przedwczoraj – nagła ucieczka z domu, bez niczego. Całą wojnę nikt ich z mieszkania nie wyrzucił i masz, ledwie cztery dni powstania i na bruk.

A tak się cieszyli. „Wreszcie pokażemy, że dłużej nas Niemcy pod butem nie utrzymają” – powiedział jej pan i w biały dzień wyszedł na balkon powiesić polską flagę. Materiał zatęchł i pozgniatał się, bo od września 1939 roku leżał w skrytce za szafą, ale Alicja była dumna. Jan Czosnowski wciąż miał w sobie tyle odwagi! Przecież

na dachach leżeli gołębiarze z karabinami i jeśli któryś przyuważył ruch, zaraz strzelał.

Niby od godziny W, od tej siedemnastej, kiedy wszystko się zaczęło i powstańcy ruszyli do ataku na niemieckie jednostki, tak się jakoś w całej Warszawie zaczęło lepiej oddychać. Na krótko, bo przez bombardowania powietrze zrobiło się gęste od dymu i od tumanów kurzu. Waliły się budynki jeden po drugim i zapalały od siebie nawzajem.

Opaczewska – ich ulica – trzymała się nieźle, co prawda w ścianach domów pojawiły się jakieś dziury od kul, jednak nic nie zapowiadało większego zagrożenia. I nagle 4 sierpnia wkroczyli żołdacy, jedni w niemieckich mundurach, inni w sowieckich, a jeszcze następni w cywilnych ubraniach, tylko z opaskami na rękawach, i w parę minut opanowali całą kamienicę. Na wszystkich piętrach zaczęło się wielkie plądrowanie – a potem strzały do ludzi. Kto by się w takiej sytuacji zastanawiał? Alicja nie miała czasu na myślenie, chwyciła torbę z jedzeniem i rzuciła się w stronę schodów. W pierwszym odruchu pożywienie okazało się ważniejsze od torebki z dokumentami i pieniędzmi. Ktoś mógł powiedzieć: głupio, że choć woreczka z pierścionkami nie zabrała. Ale przecież uszła z życiem, to chyba najważniejsze!

Myśli kołatały się jak oszalałe w jej głowie: „Tylko co to za życie? Co to za życie w cudzej piwnicy bez prądu i z ogarkami kopających świeczek?”. Rozejrzała się po twarzach ludzi. Nikogo z nich nie знаła, oprócz swojego państwa i ich ciotki. Bywała u niej często, dzieliło je w końcu

tylko kilka ulic. Do piwnicy jednak nigdy nie zajrzała. Po co miałyby schodzić do cudzej piwnicy?

A teraz? Teraz w niej siedzi jak w schronie.

Wtem coś poruszyło tłum. Bomba spadła gdzieś blisko. Alicja się wystraszyła. Znow trzeba będzie uciekać. Poza nią nikt nie wpadł jednak w popłoch. Tym, którzy siedzieli najbliżej wyjścia, tynk posypał się na głowy. Nie zareagowali – widać przez te kilka dni zdążyli przywyknąć.

„O co chodzi, że ludzie tak się kręcą?”, pomyślała. Za chwilę było jasne. Kolacja. Jeść trzeba. Ona sama nie czuła głodu, ale jak się zastanowić – to co dzisiaj jedli? Ledwie parę kromek. Przyłapała spojrzenie Czosnowskich. Tyle lat im usługiwała, podtykała jedzenie pod nos, a od wojny to już się troiła, by zdobyć coś więcej niż marny przydział na kartki. Kiedy u nich nastała, pani niemal nie wychodziła z kuchni i pouczała ją bez końca, jakby Alicja na fachu się nie znała. Pan też od czasu do czasu przychodził i przypominał, że w kuchni musi być porządek – bo od brudu do choroby niedaleko. Wielki mądrała, a sam ze szpitala najohydniejsze zarazy przynosił. W końcu dali sobie spokój i przestali przekraczać granicę jej królestwa. Rządziła tam, pichciła i karmiła Czosnowskich świątek, piątek, niedziela. Byli jak te papużki z klatki, zdani na nią, wręcz od niej uzależnieni. Ale głodu nie znali, bo Alicja zawsze coś dla nich zdobyła, czy to za pieniądze, czy za przysługi. Tyle że oni nigdy nie potrafili okazać wdzięczności.